

Kronika tygodniowa.

W jednej z poprzednich kronik zaznaczyłem wyraźnie, że kronikarz jest „nieszczęśliwy“, czyli że prześladowa go stale los garbaty, albo tak zwany pech. Nie chciał tego jednak czy nie mógł zrozumieć jeden z mych znajomych, mąż o długiej bardzo brodzie, który, spotkawszy niżej niepodpisanego w pewnym odcinku (gdzie, nie powiem ze względów strategicznych), zaczął go po chrześcijańsku brać na kawał, twierdząc, że musi wieść życie prawdziwie brylantowe, skoro się tem nawet chwali.

Jak zaś to kronikarskie szczęście wygląda, wie chyba każdy, kto czytał poprzednie *Nowości ilustrowane*. Że tam tu i ówdzie nieco skreślono, to jeszcze fraszka wobec tego, co za awanturę zrobiła mi za to moja kochana Weronisia, która dopadła gdzieś kilku ostatnich numerów, troskliwie przed jej okiem dotąd schowanych i dowiedziała się z nich o licznych ofertach małżeńskich, o owej torbie, w której noszę stale listy miłosne i t. d.

— Gdzie ta torba?! — zawołała w pasy.

— Jaka torba?...

— Którą nosisz na sercu?

— Na sercu nic nie noszę... Prawda noszę, ale tylko flanelowy kaftanik, przy którym brakuje, zdaje mi się, trzech guzików...

— O kaftaniku wiem, z guzikami mi nie wyjeżdżaj! Kobieta tego pokroju, co ja, stworzona jest do wyższych celów, nie do przyszywania guzików... Dlaczegoż więc o owej torbie piszesz i opinię publiczną w błąd wprowadzasz?

— Bo mi się tak podoba i basta!...

To rzekłszy, zadziwiłem się sam, skąd mi się zebrało na tyle energii.

— Dawaj te listy! — ciągnęła dalej.

— Niestety... już podarte!

— Co?... Podarte?... To tak szanujesz papier?...

To ty nie wiesz o tem, jak o niego teraz trudno?...

— Właściwie nie są jeszcze podarte — ja jej na to. — Złożyłem je u mojego biografa, który przyrzekł po mem najdłuższemu życiu wydać całą mą korespondencję.

— Oho! Już kręcisz!... Jak ja tego nie lubię... Jak to wygląda?... Daję ci termin dwadzieścia cztery godzin... Nie oddasz, sam sobie będziesz musiał przypisać winę, bo chyba wiesz, że ja w takich wypadkach nie żartuję!... Teraz mi powiedz, co było w poprzednim numerze skonfiskowane?

— Nie mogę!

— Nie możesz?... To ja ci pomogę!... Przysięgałeś mi posłuszeństwo...

— To ty mnie, o ile pamiętam...

— Kłamiesz!... Jeśli nie powiesz...

— Nie powiem, gdyż nie wolno. Za szereg inkryminowanych artykułów idzie się do ula...

— Ale rodzonej żonie możesz powiedzieć!

— Nie! Ani rodzonej, ani ciotecznej, ani stryjecznej...

— W takim razie potrafię zaspokoić swą ciekawość w inny sposób. Sama pójde do prokuratury i dowiem się o tem...

— Idź i spróbuj!

— Zobaczysz, że pójde...

— Pewnie!... Wszak już filozof jakiś ongi powiedział, że gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła...

— Cicho! Z dyablami mi nie wyjeżdżaj, bo ja się ich nie boję...

— Myślę sobie!... Niewiasty twojego temperamentu żyją z nim w dobrej komitywie... To on właściwie ma respekt przed wami...

I kto wie, jak daleko byłaby mnie ta sprzeczka zawiodła (najwyżej pod stół... *przyp. zecera*), jednakowo się opamiętałem i, aby zażegnać burzę, wręczyłem Weronice dwie kartki z życzeniami dla niej na dzień 4-go lutego.

Jedna, nadesłana „express“ aż z Perehińska, utrzymaną jast w tonie bardzo poważnym. Autor jej, „pilny Czytelnik *Nowości*“, pisze: „w dniu Imienin Szanownej Żony Panskiej, Weroniki, zasyłam szczere życzenia“.

Druga z Krakowa, niestety nieopłacona (porto dziesięć halerzy zapłaciłem z oszczędności, przeznaczonych na czarną godzinę), pochodzi od jakiejś niewiasty, która pisze:

„Z łaski swej proszę oddać swej nadobnej małżonce, Weronisi!“

Szanownej Weronisi, w dniu Jej Patronki, najserdeczniejsze życzenia tegiego zdrowia, dużą i pełną pończochę pieniędzy, pociechy z męża i wszystkiego najlepszego w tych ciężkich czasach przesyła

Czytelniczka.

P. S. Dla męża (!!!!!... mocno wątpię, czy ten mąż ma żonę...) serdeczne ucałowanie za kroniki“.

Ten dowód uznania dla niej i dla jej męża uradował pocziwając kobiecie i, aczkolwiek imieniny obchodziła w dniu 13-go stycznia, oświadczyła, że przyjmuje życzenia i 4-go lutego, a także i 9-go lipca, z tem jednak zastrzeżeniem, że 1) muszą być należycie ofrankowane, 2) powinny być poparte odpowiednimi prezentami.

— Na dzisiejsze ciężkie czasy ktoby tam myślał o prezentach! — ja jej na to — Kobieto, jaką dumną powinnaś być z tego, że masz takiego męża! Pokaż mi drugiego kronikarza, z którym Czytelnicy tak współczują, którego tak kochają! Mnie po śmierci powinnaś wypchanego wystawić na widok publiczny w Muzeum Narodowym!

— Możesz się dać wypchać i za życia, byle mnie to nie nie kosztowało...

— Ale i ty ze mną! Wszak, jeśli zdobyłem sobie sławę i uznanie, to tylko dzięki tobie... ty stroisz moją lutnię kronikarską, tyś mem natchnieniem, tobą tylko żyję... Nas obydwójce wypchają na koszt kraju...

— Tylko to ucałowanie za kroniki wcale mi się nie podoba! Powinieneś sobie raz na zawsze to wyprosić... Od tego masz żonę...

— Racja!

(Nawiasowo powiem, że, o ile to mnie dotyczy, jestem zupełnie innego zdania i bardzo chętnie służę Szanownym Czytelniczkom, tak w dniach imienin mojej żony, jak i własnych, a trzeba wiedzieć, że na chrzcie świętym otrzymałem aż pięć imion, między niemi i Jana, który „imieninuje“ coś siedemnaście razy w roku. Wspominam o tem dla wiadomości P. T. Interesowanych. Szanowne Czytelniczki powyżej czterdziestki, za złożeniem pewnego relutum w gotówce, mogą być od owego całowania uwolnione).

Weronisia jest więc i ze mnie i ze siebie najzupełniej zadowolona. Zawarła ze mną przymierze zaczepno odporne na czas nieograniczony i dała mi nawet codzienny „przecczas“ do dwunastej w nocy, choć obszedłbym się bez niego, tłumacząc się tem, że np. co drugą noc ma się pełnić dyżur w redakcji, bo nuż zgłosi się jakiś interesant, cierpiący na bezsenność i tylko w nocy załatwiający swe sprawy.

Spokój więc na całej linii, na razie ustanie też huk grubej Berty i trajkot domowych skarabinów maszynowych. W swem i Weroniki imieniu składam za to Szanownym Czytelnikom i Czytelniczkom głęboko odczute wyrazy prawdziwej wdzięczności i to nie bylejakiej, ale takiej pierwszej klasy.

A teraz przenieśmy się w inne sfery.

Jak ogólnie wiadomo, w dniu drugiego lutego, t. j. w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej, mieliśmy pogodę suchą i mroź, ponieważ zaś przysłówie powiada: „Gdy w Gromniczną z dachu ciecie, zima pewno się przewlecze“, możemy być przekonani, że wiosna już za pasem. Może być wprawdzie inaczej, ale temu nie będzie winna ani Redakcja, która chciałaby, jak najlepiej, ani autor przysłowia, jedynie referent niebieski od pogody. Podobno wzięto go do landzturnu i tymczasowo zastępuje go ktoś, na pogodzie się nie bardzo znający, nic też dziwnego, że się czasem myli i zamiast odkręcić kurek od śniegu, odkręca deszczowy i odwrotnie.

Złaje się, że z tego właśnie powodu, iż zimy już nie będzie, zamierza magistrat, troskliwy zawsze o mieszkańców miasta, urządzić ślizgawkę w „Oleandrach“. Bilety już się sprzedaje, w razie zaś, gdyby ślizgawki nie było, będzie można korzystać z nich w roku przyszłym.

Nie mówmy jednak „hop“. Jeszcze mrozy mogą nam się dać we znaki. Futra wprawdzie nie trzępię, jest bowiem w zastawie, wietrzyć przecież bardzo często kartkę zastawniczą, by się mole w niej nie zaległy. Zresztą magistrat ma szczęście. Zapowiedział ślizgawkę, no to muszą być i mrozy. Wszak rok temu, czy dwa, gdy w lipcu ogłoszono przepisy o wywożeniu śniegu z miasta, zrobiło się nagle tak zimno, że byliśmy pewni, że zamiast sierpnia będzie zaraz grudzień!

Ponieważ niedźwiedź, o ile naturalnie zna przytoczone wyżej przysłowie, budę swą zburzył, sądząc, że robi to i ów niedźwiedź, który siedzi nad Strypą i cofnie się nad Dniepr, gdzie mu będzie stanowczo wygodniej i bardziej do twarzy. W ubiegłym roku laził o tym czasie po Karpatach, ale tam sobie nogi pokaleczył i trochę mu futro poszarpano, dziś, dla własnego bezpieczeństwa powinien mnie także usłuchać, a dobrze na tem wyjdzie. Zresztą, tak, czy owak, koniec wojny, a zatem i pokój, zapowiadają znów na dziesiątego lipca (czytałem w *Kurjerku* o tem), autor obliczenia nie przyjmuje jednak na siebie żadnej odpowiedzialności za spełnienie się przepowiedni, zastrzega się wszakże, że w rachunku

się nie pomylił, gdyż nigdy w szkole nie miał dwójki z matematyki.

A *propos* dwójek, to muszę zaznaczyć *ex re* końca pierwszego półrocza, że stosunkowo mniej, niż po inne lata, niemi szafowali panowie profesorowie, wobec czego i cybuchy ojcowskie nie potrzebowały być wprawiane w ruch nadmierny. Tu i ówdzie wygarbował wprawdzie rodzic, choć nie posiada upoważnienia do prowadzenia przemysłu garbarskiego, skórę otrokowi, takie jednak wyładowanie nagromadzonej energii, aczkolwiek dla jednej ze stron nieraz bolesne, jest koniecznem, ze względu na utrzymanie ojcowskiej powagi. Później, po latach nieraz wielu, wspomina to człowiek nawet z przyjemnością i ze współczuciem chwytając się za ową część ciała, która ucierpiała wówczas najbardziej, choć niesłusznie, coż bowiem ma ona wspólnego z nauką. Wszak, według podręcznika fizjologii profesora Cybulskiego, rozum ma swą siedzibę w zupełnie innym odcinku!

I ja byłem niegdyś młody i ja przynosiłem czasem dwójkę do domu i cierpiałem też, jak moi terazniejsi młodzi przyjaciele, ale tego dziś nie żałuję, owszem powtarzam z Wincentym Połem: „a święte to ręce ojcowskie, co biją“... Ale wszystkim trzeba robić w miarę, nie przesadzać, niejedna bowiem skóra, gdyby mówić umiała, powiedziałaby straszne rzeczy...

Z tych zanadto energicznych ojców zrobiłbym osobną „marszkompanię“ i posłałbym ich na front, niech trzepią hajdawery Moskalom i ich sprzymierzeńcom. Dopiero to daliby im łupnia!

Przerwałem owemi dwójkami wywody meteorologiczno-polityczne, wracam jednak do nich, gdyż właśnie studiuję kartę terenu wojennego i zastanawiam się wraz z Weroniką nad tem, gdzie wymienia ostateczny uścisk przyjacielski ze sobą Niemiec i Anglik. Jedni z polityków są zdania, że w Egipcie, gdzie zmobilizowano nawet krokodyły i powołano je do pełnienia świadczeń wojskowych. Biuro Reutera donosi, że nawet stu pięćdziesiątletni krokodyl, który ongiś pożarł teściową nieboszczyka poprzedniego kedywa i od tego czasu cierpi na katar kiszek (podobno — kicha, jak najęty!... *przyp. zecera*), otrzymał odpowiednie wezwanie do objęcia obowiązków cenzora podróży w kanale Suezkim. Widocznie więc siedzi Anglikom dusza na ramieniu, a z nową czteromilionową armią będą nici.

Inni natomiast dyplomaci i strategicy są zdania, że rozstrzygnięcie nastąpi w Indyach, one bowiem są tym wrzodem, który Anglię najbardziej boli. Gdziekolwiek się to stanie, niech się dzieje, byle najdalej od nas. Indyje znam, polowałem tam bowiem niegdyś na tygrysy z pewnym maharadzą, z którym ongiś chodziłem do sztuby u św. Barbary. Kraj ładny i bogaty, gdyby więc stracili go Anglicy, równałoby się to wyrwaniu im wszystkich zębów trzonowych, a tego, jako polityczny dentysta z całego serca im życzę. Oni są właściwymi sprawcami tej wojny, należy im się za to słuszną karę. Tak ich nienawidzę, iż angielskich cukierków ani angielskiego portera do ust nie biorę (zwłaszcza, że go brak!), a potomka, gdyby zachorował na angielską chorobę, z pewnością zaraz bym wydziedziczył.

Gdyby tak udało się rzeczywiście przetrzepać tam skórę Anglii, zaraz wybrałbym się znów z powrotem i wyobrażam sobie, jaką zrobiłbym potem w Krakowie furorę powracając stamtąd w powozie, zaprzężonym w sześć całkiem oryginalnych i żywych tygrysów!

Coś podobnego można widzieć tylko w kinie lub panoptikum, a nie w rzeczywistości.

Aby to się jednak stało, musimy się postarać, by wojna już się raz skończyła, gdyż w przeciwnym razie gotów kronikarz, zamiast do ludzi, przejechać się w... strzelecki rów.

Głosy publiczne.

Odkupię Nr. 27 i 47 „Nowości ilustrowanych“ z roku 1914. Wiadomość w Administracji.

